

Za miasteczkiem na północnym wzgórzu stała pochylona ku ziemi drewniana chata. Miała jedną izbę z małym oknem wychodzącym na ścianę lasu, a właściwie z pustym oczodołem okolonym szklanymi zębami, a także z niewysokim, wąskim wejściem ze skrzypiącym na wietrze, spróchniałym skrzydłem, zaczepionym na jednym zardzewiałym zawiasie. Co chata kryła w swoim wnętrzu, nikt nie wiedział, bo nie było takiego śmiałka, który odważyłby się nawet w słoneczny dzień w południe wejść do środka. Nie było? Nieprawda. Ludzie z miasteczka widywali czasami niewielkiego szarego psa, który okrążywszy kilkakrotnie całą posesję, jednym skokiem zniknął w ciemnej głębi za drzwiami. Nie widziano, kiedy zwierzę opuszczało chatę, lecz po jakimś czasie pojawiała się znowu.

Bano się psa, bo gdy jego sylwetka zamajaczyła na wzgórzu, było pewne, że na miasteczko spadnie



jakieś duże nie-  
szczęście. Kiedyś  
zawalił się dach  
szkoły i tylko cudem  
żadne dziecko nie zginęło  
pod jego szczątkami, innym  
razem zapaliła się remiza stra-  
żacka, a od niej kościół, i oba bu-  
dynki spłonęły doszczętnie, rok  
wcześniej wójt zwariował i po-  
gnał nago przez całe miasteczko  
do lasu. Ostatnio zaś piorun uderzył  
w budynek komisariatu i rozłupał drewniane drzwi  
do aresztu, wypuszczając wszystkich więźniów na  
wolność. Strach padł na mieszkańców miasteczka,  
bo byli to, jeden w drugiego, zatwardziali złoczyńcy.

– Widzisz mamó, Bóg czuwa nad ojcem – po-  
wiedział wtedy Mikołaj, syn szewcowej. Męża jej  
aresztowano pod zarzutem zabójstwa przyjezd-  
nego handlarza starociami, który zatrzymał się  
wieczorem w gospodzie i którego nazajutrz rano  
znaleziono w łóżku uduszonego. Ktoś wskazał po-  
sterunkowemu na szewca, jako na tego, który owego

fatalnego wieczora pił z handlarzem wódkę na dole,  
a potem poprowadził go pijanego na górę.

Szewcowa pokręciła tylko głową i odpowiedziała:

– Usiadłbyś do warsztatu ojca i wykończył za-  
mówione buty, znasz się przecież na jego robocie.  
A trzeba za coś żyć.

Ale nie w głowie było Mikołajowi szewstwo. Całe  
dnie ganiał po lasach, przyglądał się roślinom i pta-  
kom, podpatrywał zwierzęta. Do domu wracał wieczo-  
rem, zmęczony padał na łóżko, które dzielił z dwójką  
młodszych braci, i natychmiast zasypiał. Nie intere-  
sował się życiem rodziny, a nieobecność ojca zauwa-  
żył dopiero po kilku dniach od aresztowania.

– Nic od was nie chcę – odpowiadał na wyrzuty  
matki. – Żywię się tym, co znajdę w lesie, a i miejsca  
do spania też mi las użyczy, jeśli go w domu poską-  
picie.



Po ucieczce więźniów w miasteczku utworzono  
straż obywatelską. Wraz z zapadnięciem zmro-  
ku grupa uzbrojonych w pałki, siekiery i strzelby

mężczyzn wyruszała na obchód wszystkich miejskich ulic i zakamarków. Każdego wieczora trasa przemarszu prowadziła obok wzniesienia ze sterczącą na szczycie czarną bryłą chaty; w jej pobliżu mężczyźni milkli i przyspieszali kroku, rzucając w tamtą stronę ukradkowe spojrzenia. Nikomu nie przychodziło do głowy wdrapać się na wzgórze i zajrzeć do środka. Któregoś razu zobaczono na progu chaty sylwetkę psa oświetloną księżycowym światłem. Nie zastanawiając się ani minuty, jeden z mężczyzn podniósł strzelbę, wycelował i odpalił. Pies przepadł w ciemnościach. Nie wiadomo: trafiony czy nie.

– Tfu – splunął strzelec – diabeł, nie diabeł. Może się wystraszył, a może ubiłem. Nie będzie nam więcej nieszczęścia przynosił. Na wszelki wypadek dam jutro na mszę za nieboszczyków.

Nikt z grupy się nie odezwał, bowiem serca pozostałych mężczyzn ścisnął lodowaty lęk. Byli przekonani, że wkrótce za ten akt zuchwalstwa miasteczko słono zapłaci. Na rynku w milczeniu uścisnęli sobie dłonie i szybkim krokiem ruszyli do własnych domów. Kowal Alojzy, ten, który strzelał do psa, został sam na środku okrągłego, brukowanego placu:

– Co wy! – krzyknął za odchodzącymi. – To jeszcze nie koniec naszej zmiany. Załatwiłem złego, jesteśmy bezpieczni. Wracajcie!

– Dobrze ci radzę, Alojzy! – odkrzyknął ktoś z daleka. – Biegnij do chałupy, zabarykaduj drzwi i nosa z niej przez kilka dni nie wystawiaj.

Kowal postać chwilę, rozglądając się niepewnie, po czym ruszył ulicą w dół, pogwizdując dla dodania sobie odwagi. Księżyc schował się za chmurami i żadne światło nie wydostawało się z okien uspio-nych domów. Zapanowała nieprzenikniona ciemność. W pewnej chwili mężczyzna poczuł, że coś ociera się o jego nogi.

– Ki diabeł – mruknął wystraszony. Wytężył wzrok, usiłując dostrzec swoje buty, ale wszędzie wokół rozpościerała się czarna pustka. Zaczął biec. Zadyszany, z sercem ledwo trzymającym się w piersi dopadł jakichś drzwi. Bił w nie pięściami, krzycząc:

– Otwierajcie, na Boga, otwierajcie szybko!

Za drzwiami nikt się nie poruszył. Po chwili kowal osunął się nieprzytomny na ziemię.

Na drugi dzień rano Mikołaj, wychodząc z domu, znalazł na progu martwego kowala. Mężczyzna leżał

skulony z dłońmi zaciśniętymi na strzelbie, a na jego długich myśliwskich butach widniały plamy zaszniętej krwi.



Mikołaj obudził matkę:

– Nic mama w nocy nie słyszała? – zapytał, podczas gdy osłupiała kobieta wpatrywała się w nieruchome ciało.

– Toż to kowal Alojzy! – zawołała po chwili. – Co on tu robił po nocy! Przecież mieszka po drugiej stronie rynku. Rany boskie! Trzeba dać znać posterunkowemu Łebskiemu. Leć Mikołaju, niech zaraz przyjdzie.

Ponieważ nikt z domowników nic nie słyszał, posterunkowy doszedł do wniosku, że kowal gdzie indziej stracił życie, a potem został przyciągnięty na szewskie podwórko i porzucony na progu chałupy. Trzeba było jeszcze tylko wyjaśnić, od czego zmarł i dlaczego miał nogi powalane krwią.

Mikołaja to jednak zupełnie nie interesowało. Zostawił rodzinę na pastwę prowadzących śledztwo

i jak co dzień wyruszył na obchód okolicznych lasów. Poprzedniego dnia nad strumieniem spotkał nową rodzinę bobrów: ojca, matkę i dwójkę młodych, i miał zamiar zaprzyjaźnić się z nimi. Szedł sobie tylko znanymi ścieżkami, otoczony wilgotną mgiełką, unoszącą się do wysokości rozłożystych koron olbrzymich dębów. Minął grupę smukłych brzoź i znalazł się na polanie, przeciętej na pół krętym, wąskim strumieniem o krystalicznie czystej wodzie. Na tej to właśnie polanie, w samym środku leśnej głuszy, zbudował sobie z gałęzi wygodny szałas. Trzymał w nim trochę rzeczy przydatnych w leśnym życiu: ciepły koc, rondel, narzędzia, zapalki i latarkę.

Już chciał wsunąć się do środka, kiedy zauważył na trawie przed wejściem plamy krwi. Powoli odsunął stary worek służący za zasłonkę. Z najciemniejszego kąta szałasu patrzyło na niego dwoje świecących złociście oczu. Mikołaj łagodnie wciągnął się na łokciach do środka; w szarym, wąskim pysku pokazały się dwa rzędy groźnych zębów, a z gardła wydobył się ostrzegawczy charkot. Chłopiec, zupełnie nieprzestraszony, usiadł pod przeciwległą ścianką. Pies i człowiek przyglądali się sobie w milczeniu.